ROZMAITOŚCI.

Dnia 25. Lutego. № 8. Roku 1837.

ZEMSTA ZZA GROBU.

(Ciąg dalszy.)

Wyobrażałem sobie, że Luisella wygląda z lasu, i że konając obejmę jeszcze raz okiem to wszystko, co kochałem za życia.

Poustawiano nas tymczasem w szeregu nad głębokim rowem, który po dokonanej karze miał pochłonąć nasze ciała.

Na zegarze w Mortarano uderzyła piąta godzina. Uklękliśmy wszyscy z niezawiązanemi oczyma. Wymierzyli broń karabiniery, a jakiś stary podoficer zakomenderował ognia.

Nie mogę sobie tu wytłumaczyć, czy jeden z karabinierów strzelił pierwej niż inni, czy byłto tylko jakiś przypadek osobliwszy, dość że mój sąsiad z prawej strony powalił się na mnie całem ciałem w tej chwili, kiedy właśnie karabinierowie dali ognia. Zakryty jego ciałem nie odniosłem najmniejszego uszkodzenia od gradu kul, który na dane hasło sypnął się na nas.

Mój nieszczęśliwy obrońca, przeszyty kilkunastą kulami, wpadł w jamę, a swoim ciężarem pociągnął i mnie za sobą. Wkrótce zaczęły wszystkie inne trupy jeden po drugim spadać do rowu, i niebawem uścieliła się na moim grzbiecie cała kupa zakrwawionych ciał ludzkich.

Uduszony na poły ich brzemieniem, nie wydałem przecież żadnego głosu, i pozostałem niemy i nieruchomy pod okropnem nakryciem mojem.

W takim stanie leżałem przynajmniej przez trzy godziny, czekając z upragnieniem nadejścia nocy, gdy wtem posłyszałem jakieś kroki, i rozróżniłem wyraźnie głosy dwóch ludzi, zbliżających się wśród żywej rozmowy ku mojemu grobowi.

Zapierając oddech w sobie, zakopałem się głębiej jeszcze pomiędzy trupy. Tymczasem obadwaj obcy przechodnie stanęli nad rowem, a każde słówko ich rozmowy dochodziło dobitnie moich uszu.

— „O Alberyku, nie spodziewałem się tego po tobie“ — rzekł jeden z nich.

Ten głos i to imię przejęły mię dreszczem. Poznałem w mówiącym oficera, który domagał się mego ułaskawienia.

— „Masz słuszność, Ferdynandzie, jestem nikczemny“ — odpowiedział Alberyk — „lecz cóż robić? Straciłem zmysły, oszalałem z miłości dla tej młodej dziewczyny, która od tylu miesięcy robi sobie igraszkę ze mnie, a dla której zboczyłem od rozkazów kapitana mojego. Za jeden jej uśmiech zapomniałem o obowiązku, zdradziłem sztandar; bo wiesz przecie, że sam dopomogłem do ucieczki jej ojcu, jednemu z największych łotrów, z jakichbyśmy mieli oczyścić Kalabryę. I czegoż się dziwisz jeszcze, że bez żalu dałem umrzeć temu młodemu pasterzowi, który największą był przeszkodą w mojej miłości. O, Ferdynandzie, jestem zaślepiony, oczarowany!“

— „To prawda, muszę ci wierzyć. Dla tej nieszczęsnej miłości nietylko sprzeniewierzyłeś się twoim obowiązkom, i nie wzdrygnąłeś się wyroku śmierci niewinnej, ale zapomniałeś nawet o innych uczuciach, innych związkach i przysięgach.“

— „Zapomniałem Henrykę!“ — wykrzyknął Alberyk wzruszonym głosem.

— „Tak jest, zapomniałeś Henrykę Montmeillan tę anielską dziewczynę, którą miałeś poślubić za wspólną wolą twoich i jej rodziców. Wyrugowałeś z serca tęsamą Henrykę, która miała ci być aniołem opiekuńczym, gdy wyruszałeś na wojnę, i której portret utrzymywał dotąd twego ducha w najprzykrzejszych przygodach i niebezpieczeństwach.“

— „Ferdynandzie! miej litość nademną. Przestań, zaklinam cię.... O nie! ja nie zapomniałem Henryki. Kocham, ubóstwiam ją zawsze. Jej portret, jej listy nie opuszczają mnie nigdy; są one mi zawsze drogiemi talizmanami, z któremibym się za nic w świecie nie rozłączył. Lecz jeśli można wierzyć w czary, tedy pewny jestem, że za ichto pomocą przykuła mię Luisella do siebie. Kocham ją, nie przestając kochać Henrykę. Uczucia moje ku Luiselli to nie miłość, to febra,

która mię pali, namiętność, która mię pożera. Ferdynandzie, dziś widzisz we mnie dwie zupełnie różne istoty, jedna zacna, szlachetna, prawa, a tą jest narzeczony Henryki, druga szalona, niewdzięczna, podła, a ta rozmawia z tobą w tej chwili.“

— „Lecz do czegoż chcesz dojść po tej drodze?“

—„Słuchaj Ferdynandzie, opowiem ci wszystko co do joty. Jest temu pięć miesięcy kiedy poznałem Luisellę. Pokochałem ją od pierwszego wejrzenia. Ona ani jednem słówkiem nie podniecıła moich nadziei. Pozostawiając mię owszem w zupełnej niepewności, użyła mojego przywiązania za środek do ocalenia ojca. Na jejto prośby zakazałem żołnierzom przetrząsać folwark w Gemiliano, gdzie ukrywał się Teodoro... Tak oto miały się rzeczy aż do soboty. W ten dzień spotkałem Luisellę na drodze do Mortarano. Nigdy nie wydała mi się tak piękną jak wtedy. Po pierwszem powitaniu zacząłem się uskarzać na jej obojętność. Odpowiadała mi krótko i chłodno. Unosiłem się coraz bardziej w wyrzutach, nareście rozgniewany, zniecierpliwiony, oświadczyłem jej otwarcie, iż nie dam się dłużej uwodzić próżnemi słowy, a będąc teraz pewnym że kocha w samej rzeczy jakiegoś gbura, pastucha, każę zaraz jutro przetrząsnąć folwark i pochwycić jej ojca. I jaką też myślisz, otrzymałem na to odpowiedź? Oto spojrzała na mnie z dumą księżniczki, i rzekła najspokojniej w świecie:

— „Rób pan jak mu się podoba; nie przeszkadzam mu w niczem.“

— „Nazajutrz dowiedziałem się, że ojciec jej nie był już w Gemigliano.“

— „A potem?“

— „O potem, potem, przekonałem się, że cnotliwi bandyci, przestrzegający pilnie honoru swoich rodzin, istnieją tylko w romansach, bo wcale innym okazał się Teodoro. Zaledwie przedwczoraj poznał, że daleko wygodniej było mu ukrywać się na folwarku w Gemigliano niż w dzikim borze ś. Eufemii, zaraz dnia wczorajszego nakazał córce, aby uległa moim życzeniom, i pożegnała na zawsze swojego pastucha.... Luisella zanosiła się od płaczu, lecz ojciec pozostał niewzruszony. A nie mogąc namowami przełamać uporu córki, zagroził jej nakoniec, że sam się wyda w ręce sprawiedliwości francuzkiej. Przestraszona tem Luisella przyzwoliła na wszystko. Teodoro usadowił się znów na folwarku w Gemiliano, a dziś o północy ma Luisella przyjąć mię w swojej chacie.“

— „A tenże pasterz nieszczęśliwy?“

— „Najprzód jeszcze słówko o Teodorze. Widząc iż dotychczasowy stosunek Luiselli do tego nieszczęsnego będzie zawsze przeszkodą dla mnie, postanowił rabuś pozbyć się Paola conajrychlej. Sam też przez jednego ze swoich przyjaciół oskarżył go przed kapitanem o donoszenie żywności bandytom.“

— „A Luisella wie o śmierci swojego narzeczonego?“

— „Tak jest, wie. I otoż właśnie najdziwniejszy szczegół w całej historyi. Mimo odrazy, jaką mi sprawia ten przebrzydły Teodoro, widziałem się z nim tej nocy. Naznaczył mi schadzkę w pobliżu folwarku w Gemigliano, aby się ze mną rozmówić o czemś, „*co mię bardzo obchodzi.*“ Wnosząc z jego słów i moich własnych spostrzeżeń, kocha mię Luisella, kocha mię nawet z namiętnością. Starała się jednakże stłumić tę miłość na wszelki sposób, aby pozostać wierną pierwszej skłonności do Paola.... Dawne przywiązanie dla niego miało jej być tarczą przeciw mojej miłości.... Przychodzi mi Ferdynandzie, osobliwsza uwaga w tej chwili.“

— „Jakaż?“

— „Zdaje mi się, że Luisella znajduje się w takiemsamem położeniu jak ja. Ożywiają ją podobnoś takieżsame uczucia ku Paolowi, jak mnie ku Henryce de Montmeillan.“

— „Czy ta okoliczność polepszyłaby twoje położenie ku Luiselli?“

— „Nie wiem... ale obyczaje tego kraju do niewypowiedzenia różnią się od naszych. We Francyi śmierć Paola stałaby się nieprzebytą otchłanią między mną a Luisellą. Tu zachodzi zupełnie przeciwny stosunek. Żyjąc byłby nam Paolo ciągłą zawadą, bo aby się niejako związać w swoich uczuciach, zaręczyła się z nim Luisella; umierając, pozostawił mi wolne pole do dalszej walki i nadzieję w dwójnasób powiększoną.“

— „Więc na wszelki wypadek pójdziesz dziś do Luiselli?“

— „Pójdę, i pewny jestem, że mię przyjmie. Zanadto boi się, aby mię odepchnąć.“

— „A czyż nie lękasz się zdrady lub zasadzki?“

— „O! w tym względzie jestem zupełnie spokojny... Dzisiejsza egzekucya przejmie piekielnym popłochem wszystkich niedobitków. Zresztą chata Luiselli nie jest zbyt oddaloną od świata. O północy na trzykrotne zapukanie otworzy się jej okienko, i jednym skokiem będę u jej boku....“

— „Może zechcesz, abym ci towarzyszył?“

— „Oh, Ferdynandzie!“ — zawołał z lekkim wyrzutem Alberyk.

Byłyto ostatnie słowa ich poufnej rozmowy. Obadwaj oficerowie oddalili się od grobu, a wnet ostatni odgłos ich kroków przebrzmiał wśród powszechnej ciszy i ciemności.

Nie potrzebuję opisywać, co się działo w mojem sercu w ciągu tego dyalogu podsłuchanego. Wszystkie wypadki, których wprzódy nie mogłem żadną miarą zrozumieć, mianowicie pomieszanie Luiselli, jej nagłe przejścia z obojętności do czułości, dziwaczne słowa Teodora i osobliwsze zachowanie się Alberyka w gronie moich sędziów, wszystko to wyjaśniło mi się w jednym momencie, a wyjaśniło się stokroć okrutniej od wszystkich moich podejrzeń i domniemywań.

Podczas kiedy Alberyk zwierzał się swojemu przyjacielowi, serce moje przenikały szybką po sobie koleją boleść, zazdrość, rozpacz, gniew i straszna żądza zemsty.

A wpośród tego zamętu najdzikszych uczuć dojrzewała w myślach moich silna, niezłomna wiara, że przypadek, który mię w tak cudowny sposób ocalił od śmierci, poda mi także sposobność do zemsty.

Zaledwie też ucichło koło mojego grobu, wygrzebałem się zpod trupów, i wyskoczyłem z rowu.

Noc była ciemna. Mimo licznych gwiazd widziałem zaledwie na kilka kroków przed siebie. Wszakże przy mojej znajomości okolicy dobiegłszy do lasu, z łatwością odszukałem krętą ścieżkę, prowadzącą do chaty Luiselli.

I mając już w głowie zamysł uknuty, puściłem się co tchu w głąb lasu. Nie ubiegłem jeszcze dwudziestu kroków między krzewami, gdy uderzyło mię zdala blade migające się światełko. Wściekłość przejęła mię na ten widok. To światło miało być zapewne skazówką drogi dla mojego rywala.

Toż odchodząc prawie od przytomności, biegłem jeszcze spieszniej ku chacie Luiselli, i wnet stanąłem pod jej oknami.

Luisella, czarno ubrana, klęczała w głębi chaty przed wielką, drewnianą statuą Matki Boskiej, niezbędną w każdej chacie kalabryjskiej. Światło, którego dostrzegłem z takiej odległości, gorzało właśnie nad głową statuy.

Okno u chaty było odchylone. Jednym susem wskoczyłem do środka. Zatopiona w modlitwie, nie spostrzegła mnie wiarołomna kochanka.

— „Luisello!“ — rzekłem półgłosem tuż za jej plecami.

Wykrzyk zgrozy i przerażenia wyrwał się na to z piersi młodej dziewczyny. Obróciła się nagle, a ujrzawszy mię przed sobą, zatoczyła się pod samą ścianę, i bledsza od kredy wlepiła we mnie wzrok obłąkany.

— „Upior! upior!“ — wyjęknęła na poły umarła, ledwo zrozumiałym głosem.

— „Nie, to nie upior, to mściciel!“ — odrzekłem, dotykając się jej moją ręką gorejącą.

Po tych słowach nastąpiło kilka chwil jakiegoś okropnego milczenia. Ani ja, ani ona nie mogliśmy w żaden sposób wydobyć z siebie głosu.

Nareście pochwyciła mię Luisella za suknie, i zapytała drżącym głosem:

— „Tyżeś to Paolo, czy twój cień?“

— „Jamto, ja, ocalony szczególniejszą łaską boską, przybyłem się pomścić.“

— „Pomścić się... pomścić się! Masz słuszność, jam winna... Oszukałam cię... a powinnam ci była wszystko wyjawić... powinnam ci była powiedzieć, do czego przywiodła mię chęć ocalenia ojca.“

— „Ah,“ — odpowiedziałem z gorzkim uśmiechem — „zachwyca, porusza mię ta czułość dziecinna! Lecz kto wie, czy znalazłby cię Teodoro tak odważną i posłuszną, gdyby ocalenie jego nie zawisło od życzeń pewnego młodego oficera, który ma tu przybyć lada chwila.“

— „Oh, Paolo, miej litość... przebacz mi!“

— „Nie mów mi o litości i przebaczeniu! Alboż to wy mieliście litość nademną? On, który mię chciał zabić, i ty, któraś mi pozwoliła umrzeć? Kochałem cię, jak tylko ten kochać może, kto sam jeden będąc na świecie, widzi w ukochanej istocie uosobienie wszystkich swoich życzeń, chęci i marzeń. Dla ciebie nie lękałbym się tysiąca śmierci... Wszak przed trzema dopiero dniami narażałem się na pewną zgubę jedynie dlatego, aby dzielić niebezpieczeństwo z tobą, a na wypadek nieszczęścia umrzeć za ciebie. A wczoraj kiedy dwadzieścia karabinów zwróciło się ku moim piersiom, kiedy z każdej lufy śmierć i zniszczenie godziły we mnie, twoje jedynie imię było mi na ustach, twój obraz w sercu i myśli... A ty... w zamian za tyle miłości i poświęcenia oddałaś serce innemu... Francuzowi! Czemże byłem dla ciebie? Zabawką, którą można złamać w każdej chwili, nędznym pastuchem, którego można zdradzać bez wyrzutu, doprowadzić do rozpaczy, nie

popełniając występku.... Przeszkadzałem ci w twoich miłostkach, potrzeba mię było zabić...“

— „Dowiedz się tedy wszystkiego“ — ozwała się nagle Luisella z dziką energią. — „Kocham Alberyka, kocham miłością szaloną. Jeśli to zbrodnią, tedy zadaj mi cios śmiertelny, Paolo! Ja sama błagam cię o to. O, jam winna, ja jedynie... Sama nie wiem, jakim sposobem te namiętne uczucia zrodziły się w mojem sercu, i jakim cudem wyrugowały z niego dawne przywiązanie do ciebie... Tak jest, jestem winną... lecz daleką od wszelkiej nikczemności... Alberyk nie wie nawet, do jakiego stopnia sięga moja miłość dla niego... Wszystko co się stało dzisiejszego poranku, twoje uwięzienie, osądzenie i rozstrzelanie, było do niedawnej chwili tajemnicą dla mnie. Dopiero przed kilką godzinami wyjawił mi ojciec wszystko, oznajmiając zarazem, iż jeśli jego samego chcę od podobnej ochronić śmierci, muszę tej nocy przyjąć u siebie Alberyka... Lecz patrz oto Paolo...“

Tu wydobyła Luisella z zanadrza długi i ostry nóż, i podnosząc go w górę, rzekła z trudnym do opisania przyciskiem rozpaczy i prawdy:

— „Po twojej śmierci nie byłam już płochą dziewczyną, oczarowaną i uwiedzioną pochlebstwami młodego oficera... Czułam się już wdową, opłakującą narzeczonego... męża. Ztąd też zastałeś mię w żałobie, na klęczkach przed wizerunkiem Matki Boskiej. Twoje wspomnienie i moje modlitwy miały stanąć nieprzebytą zaporą między mną a Alberykiem.... a na wypadek gdyby ją chciał był przełamać, byłabym użyła tego noża.“

— „Przeciw niemu?“ — zapytałem półgłosem.

— „Nie, przeciw sobie samej...“ — odpowiedziała, i wzdrygnęła się na całem ciele.

— „W takim razie“ — zawołałem, wydzierając jej nóż z ręki — „zmieni ta broń mściciela przeznaczenie, bo ugodzi w Alberyka.... Już północ niedaleko... ponoś już idzie!“

Na te słowa Luisella padła przedemną na kolana.

— „O! błagam, zaklinam cię“ — jęczała przerywanym od łkania głosem — „rób co chcesz, tylko tego nie!.. Zabij.. zgładź mię, mnie samą, a daj pokój Alberykowi... Ja cię pojmuję, Paolo! Zdradzony, obrażony, dyszesz za ofiarą... pragniesz zemsty... lecz Alberyk nie winien... Słuchaj... Wszystko co ci powiedziałam przed chwilą, jest nieprawdą... chciałam cię tylko zmiękczyć, chciałam tylko siebie samą ocalić.... To wszystko nieprawda... Alberyk niewinny! Ja sama wszystkom to postanowiła, wymyśliła, wykonała.... Ugodź we mnie, zabij mnie, lecz nie wiń Alberyka.“

I mówiąc to, wiła się łkając u nóg moich.

— „Więc tak bardzo go kochasz?“ — zapytałem lodowato.

Pojęła Luisella, że nic już nie zdoła mnie poruszyć. Odsunęła się też nagle odemnie, i upadając na kolana przed statuą Matki Boskiej, zawołała z nieopisanym wyrazem trwogi i rozpaczy:

— „Dziewico łaski i przebaczenia! spraw, spraw, aby nie przyszedł!“

— „Boże sprawiedliwości i kary!“ — zawołałem — „spraw, aby przyszedł.“

W tej chwili zegar w Mortarano uderzył dwunastą godzinę. Taka cisza zalegała powietrze, że mimo znacznej odległości każde uderzenie zegara dochodziło wyraźnie naszych uszu.

W tymsamym momencie dał się słyszeć lekki szelest w zaroślach o kilka kroków od chaty.

— „Słyszysz?“ — szepnąłem do klęczącej Luiselli.

— „To wiatr zaszeleściał w krzakach“ — odpowiedziała, wzdrygnąwszy się.

— „O nie, to Alberyk przychodzi!“ — zawołałem.

W tej chwili ozwało się tuż pod chatą trzykrotne klaśniecie w dłonie.

Luisela porwała się z ziemi, aby zgasić świecę. Przytrzymałem jej rękę, a potem pochwyciwszy sam świecę ukryłem się za ścianą.

W tem mgnieniu oka Alberyk wskoczył do izby. Wysunąłem się naprzód, i jednym i tymżesamym ruchem spotkały się nasze spojrzenia.

Alberyk wstrząsł się z lekka, ale nie pobladł, nie cofnął się w przestrachu. Oko jego pozostało dumne i śmiałe jak zwyczajnie.

— „Człowiekn czy upiorze!“ — rzekł spokojnym głosem — „żywy czy umarły, możesz we mnie ugodzić, lecz nie zdołasz mnie przestraszyć.“

— „Jestem człowiekiem“ — zawołałem drżąc od złości, którą zimna krew przeciwnika w tem sroższą podniecіła gwałtowność. — „Tak, jestem człowiekiem, z którego ty chciałeś zrobić upiora; kochankiem, któremuś wydarł narzeczoną! niewinnym, któregoś na śmierć skazał! Masz szpadę przy sobie, broń się!“

Alberyk odpowiedział z wyniosłością:

— „Szpada naprzeciw sztyletu, żołnierz przeciwko skrytobójcy! Paolo! możesz mie zabić, lecz nie przymusisz mię do walki z tobą.“

A mówiąc to, wyrzucił z szczękiem odpasaną szpadę przez okno.

Wrodzone uczucie honoru nie dozwoliło mi uderzyć na bezbronnego. Przystąpiłem spiesznie do ściany, na której wisiał pozostały sztylet Teodora, i biorąc go w rękę przystąpiłem do Alberyka.

— „Powiedz mi pod przysięgą honoru — jeśli honor u ciebie nie jest tylko czczem słowem, czy słusznie czuję się obrażonym?“

Wahał się chwilkę, potem zmienił nieco swoją wzgardliwą postawę, i szepnął:

— „Słusznie.“

— „Dobrze więc, jeśli rzeczywiście jestem pokrzywdzonym a ty moim pokrzywdzicielem, tedy do mnie należy wybór broni i walki... a ja żądam, abyś się bronił.“

Alberyk podniósł głowę, jakgdyby chciał naigrawać się ze mnie.

— „Alberyku broń się! ja cię kocham!“— zawołała w tej chwili Luisella z roziskrzonem okiem i bladą jak trup twarzą.

Nowy wybuch wściekłości przejął mię dreszczem od stóp do głowy, a jakby instynktem zemsty natchniony, zawołałem grzmiącym głosem:

— „Broń się Alberyku! zaklinam cię na twoją młodość, na twoje nadzieje, na imię owej Henryki, którą pozostawiłeś we Francyi, i którą kochasz z takim zapałem!“

Na to nagłe i niespodziewane odkrycie jęknęła Luisella, i upadła zemdlona na ziemię.

— „Czy złych duchów masz na swoje usługi?“ — zapytał Alberyk w osłupieniu.

— „Nie; mam tylko uszy, aby słyszeć co mówią nad moim grobem, w mniemaniu żem nieżywy. Wzywam cię jeszcze raz Alberyku, broń się w imię Henryki de Montmeillan!“

Nagły wyraz czułości i żalu odbił się na twarzy Alberyka. Wziął sztylet w rękę i stanął w obronnej postawie.

Wszakże bronił się bardzo słabo. Ja miałem niesłychaną wprawę w władaniu podobnego rodzaju bronią. Toż wychyliwszy się naprzód jak gadzina, ugodziłem w samą pierś przeciwnika. Po tem jednem uderzeniu padł nieżywy na ziemię.

Cała walka nie trwała dłużej nad jedną minutę.

Przystąpiłem teraz do Luiselli, leżącej bez ducha na ziemi.

— „Powstań!“ — rzekłem jej nad uchem.

Nie odpowiedziała mi ani słówkiem, i nie wyszła z swojego otrętwienia.

— „Luisello!“ — powtórzyłem.

Nie ocknęła się.

Pochwyciłem ją wtedy w moje ramiona, i posadziłem na ławce.

Nie opierała mi się bynajmniej. Spoglądała tylko na mnie oczyma, w których rozpacz i nieprzytomność w równym odbijały się stopniu. Naraz jakby najgłębszem tchnieniem boleści wyrwało się z jej piersi jedyne słowo.

— „Henryka!“ — szepnęła.

— „A tak, Alberyk kochał Henrykę! Henryka była jego jedyną miłością!“

Luisella wzdrygnęła się, a po chwili zapadła napowrót w dawną otrętwiałość.

Ja tymczasem zdjąłem mundur z zwłok Alberyka. Nimo znacznie nierównego wieku byliśmy prawie tegosamego wzrostu i tejsamej tuszy. Z łatwością też przywdziałem jego suknie na siebie, a moją burkę włożyłem na jego trupa.

W kieszeni na piersiach munduru znajdował się jakiś spory zwój papierów. Byłoto kilka listów i mała sylwetka z portretem zachwycająco pięknej dziewczyny.

Niepodobnaby wystawić sobie obrazu więcej poetycznego i uroczego jak ta świeża twarzyczka o najwięcej szesnastu latach. Czoło idealnej szlachetności, oczy niewymownej słodyczy, znamionowały jedną z owych istot anielskich, zrodzonych jedynie dla poświęcenia się, czułości i modlitwy. Kilka pukli jasnych włosów ocieniało ten obraz zachwycający, jakgdyby tem większej szlachetności chcąc nadać oczom, i więcej niebiańskiej słodyczy wlać w spojrzenie.

Dla młodzieńca na poły dzikiego, jakim byłem jeszcze podówczas, stał się ten obraz istnem objawieniem jakichś światów nieznanych, odkrywał jakieś nowe nieprzeczuwane życie, pełne niewypowiedzianego uroku.

Toż szczególniejsze uczucie, rzewne i niewytłumaczone zarazem, owładnęło mię w ciągu przypatrywania się temu portretowi. Zdawało mi się w tej chwili, że nie zazdrościłem Alberykowi miłości Luiselli, lecz miłości Henryki.

— „Patrz, jak ładna!“ — rzekłem do Luiselli, pokazując jej piękny portret.

Nie wiem czy była w stanie spojrzeć na niego, lecz uważałem, że się wzdrygnęła na całem ciele. (D. c. n.)

Opis niektórych miejsc Galicyi w r. 1685,

przez

Francuza w służbie króla Jana III.

I.

ZŁOCZÓW.

Złoczów należy do dziedzicznych posiadłości króla Jana III, wziętych w spadku po matce. Jestto stolica klucza tejsamej niemal rozległości, co klucz żółkiewski. Obszerne i dość zaludnione miasto oblewają ramiona wielkiego stawu, nad którym wznosi się nieznaczne wzgórze z zamkiem dziedzica. Zamek ten przemienił król Sobieski w małą cytadellę o czterech murowanych i silnemi okopami otoczonych bastionach, z narożnikami na armaty. Od strony pól ciągnie się ponad posadą cytadelli spora wyżyna, którą przerzynają osobne fortyfikacye dość regularnych kształtów. Brama cytadelli, wychodząca ku miastu, broniona jest małym rawelinem, jedyną silniejszą warownią całej twierdzy, jeśli można nazwać tak miasto, nie mające parapetów, kontrskarpów a nawet rowów, bo ciągnące się dokoła miasta fosy są nazbyt płytkie i wąskie.

Wewnątrz miasta znajduje się plac ćwiczeń wojskowych, okołony ze wszystkich stron budynkami, a tak szczupły, że zaledwie czterysta ludzi mogłoby się na nim uszykować. Pomiędzy budynkami, w największej części z drzewa, celuje wielka kamienica, wymurowana przez króla z niemałym kosztem. Jestto jedyny większy i okazalszy dom, dobrze wewnątrz urządzony. Resztę mieszkań drewnianych szpeci nader niska struktura. Ztąd też całe miasto niezbyt powabną ma powierzchowność.

W takimto stanie odparł Złoczów przed dziesięcią laty, t. j. w roku 1674, gwałtowny szturm Turków i Tatarów, którzy połączeni pod wodzą Aggi Gherej sułtana uderzyli na miasto. Wiedząc iż król Sobieski z wszystkiem wojskiem koronnem wyruszył bronić Lwowa, a w Złoczowie tylko wojewoda ruski z garstką zbrojnych się zawarł, spodziewali się pohańcy łatwej sprawy z mieściną. Przypuściwszy więc szturm, wdzierali się wszelkiemi siłami do cytadelli, lecz wojewoda Jabłonowski odparł ich prawdziwie po bohatersku. Znakomity ten wódz był wtedy dopiero Oboźnym koronnym, po tym zaś czynie otrzymał buławę mniejszą, a wkrótce został wielkim hetmanem koronnym.

Miasto Złoczów zbudowane jest, jak powiedziano, prawie wyłącznie z drzewa. Ma przytem dość obszerne przedmieścia, rynek, trzy cerkwie ruskie i jeden murowany kościoł łaciński. Dokoła otacza je wał z palisadów z bramami. Nie uchroniło go to jednakże od Tatarów, którzy po zamarzniętym stawie weszli do miasta. Z tej bowiem strony, naprzeciw wzgórza cytadelli, stoi miasto otworem. Wielce ludne i dość bogate, posiada ono wielkie lasy na wzgórzach okolicznych. Wyniosłość na której stoi cytadella, okryta jest w głębi rozległemi sadami, pełnemi najpiękniejszych drzew owocowych, poprzedzielanych tuowdzie palisadami. Owoce tych sadów są przewyborne, i stanowią obfite źródło dochodów pomyślności mieszkańców, którzy w nich mają suszarnie do suszenia postrząsanych owoców, wywożonych poźniej do Lwowa.

Znajdują się także również wielkie sady w wielu innych miejscach wkoło Złoczowa, nawet wpośród najdzikszych lasów. Strzegą ich tam z jaknajwiększą pieczołowitością włościanie, i należą one niezawodnie do najciekawszych osobliwości Polski. Bo też wydaje się to rzeczą w istocie nadzwyczajną, spotykać w najgłębszych lasach, oddalonych zgoła od mieszkań ludzkich, szerokie obszary sadów, które natura najwyborniejszym wyposażyła owocem.

Utrzymują niektórzy, że miejsca te były niegdyś zamieszkałe, i że chłopi wówczas pozasadzali je drzewami owocowemi, którym poźniej sama łaska natury zdziczeć nie dała. Drudzy przypisują założenie tych sadów leśnych Ormianom, którzy zdawiendawna mają zachowywać zwyczaj podobny, i których liczne gromady mieszkały niegdyś w tych okolicach. Inni wreście starają się dowieść, że drzewa te urosły same przez się, podobnie jak drzewa znachodzone w stepach Ukrainy, gdzie owoce rodzą się w lasach bez wszelkiej opieki ludzkiej, a dojrzewają do niezwykłej wielkości i smaku przewybornego. Wszakże w Ukrainie rosną drzewa owocowe tylko pojedyńczo, wpośród innych drzew dzikich, podobnie jak nieraz zdarza się ujrzeć jodłę wśród dębów lub olchę wpośród buków. Przeciwnie w głębi lasów złoczowskich znachodzą się drzewa owocowe gęsto w jednem miejscu skupione, szeroko rozpostartemi i ściśle odgraniczonemi sadami. Ztądteż możnaby je poczytać raczej za dzieła ręki ludzkiej niż przypadku.

Gościniec z Złoczowa do stolicy przerzyna najprzód wzgórza niewielkie, ciągnące się od zachodu, a potem bieży to gęstemi lasy to polami, gdzieniegdzie bardzo dobrze uprawianemi. Ziemia jest nierówna, bez piasku i kamieni. Przerzynają ją w pstrej mieszaninie zielone łąki, czarne smugi roli zoranej i pastwiska o barwnem zielu. Wypada tu jeszcze nadmienić że od tych okolic rozpoczyna się urodzajna ziemia w Polsce. Od Żółkwi aż po Czarne morze nie znajdziesz już ani piasków, ani lasów jodłowych, ani gleby glinkowatej. Byłby to może najurodzajniejszy kraj w świecie, gdyby miał dostateczną uprawę i mieszkańców, lecz wojna, która wszystko niszczy zwolna gangreną, przemieniła najżyzniejszą w Europie krainę w dziką i bezludną pustynię.

II.

OLESKO.

Posiadłości oleskie, przynoszące dwadzieścia pięć tysięcy złotych rocznego dochodu, należały niegdyś do matki króla. Sławny ten bohater urodził się w zamku oleskim. Dawniej wszystkie dobra tutejsze zostawały zastawą w ręku szlachty polskiej, lecz królowa odebrała je na siebie. Chodziło jej przytem, jak się zdaje, raczej o utrzymanie w dobrym stanie rodzinnego miejsca króla niż o podwyższenie dochodów, które przedtem były w istocie bardzo małe, zważywszy iż cała suma zastawna wynosiła zaledwie sto pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Takie niekorzystne zastawy nie są wcale niezwyczajnemi w Polsce, i ciężą nawet na domach najbogatszych. Panowie robią niesłychane wydatki na wesela, pogrzeby, umundorowanie wojska i wyjednanie sobie głosów na sejmikach; w częstym zaś braku gotówki, zastawiają swe posiadłości, dzieląc je w małe cząstki, o których poźniej zapominają czasem zupełnie, tak że nieraz pozostają one na zawsze w ręku posiadaczy chwilowych. W takim zastawie było przez niejakiś czas i Olesko.

Jestto małe miasteczko, otoczone dokoła okopem z parapetami z tarcic, a przerznięte jeziorem, które całe miasteczko dzieli w dwie części. Posiada ono zresztą dość znaczną liczbę mieszkańców, Żydów i Polaków; ma porządne karczmy, murowany kościół, którego proboszcz, daleki krewny królewski, posiada sześć tysięcy złotych dochodu. Oprócz kościoła łacińskiego znajduje się tu także jedna cerkiew ruska.

Olesko leży wpośrodku bagnistej łąki, prawie u stóp dość wysokiego pogórza, okrytego takiemiżsamemi lasami jak wzgórza w pobliżu Żółkwi i Lwowa. Zamek dziedzica leży o tysiąc pięćset kroków albo o strzał armatni od miasta. Prowadzą do niego dwa szerokie gościńce (groble), znacznie podwyższone nad poziom. Sąto jedyne suche miejsca wśród całej łąki, błotnistej o każdej porze roku. Dziwną się zdaje rzeczą, że wśród takich moczarów wznosi się nagle dość wysoki i znaczny pagórek, sam jeden na całej równinie, jakoby albo zkądinąd przeniesiony, albo ręką ludzką tu usypany. Na szczycie tej wyniosłości leży zamek dziedzica niby gniazdo gołębie.

Wszyscy mniemają, że wzgórze to będzie jednym z owych olbrzymich mauzoleów, które niegdyś armie rzymskie wznosiły na cześć swoich w boju poległych wodzów. Podobnego przynajmniej kształtu bywają dawne pomniki rzymskie w wielu miejscach Francyi i Flandryi. W Polsce nazywają je *mogiłami*, któreto miano służy także wielkim skupowiskom gałęzi, wznoszonym na wzór starożytnych grobowców nad zwłokami zamordowanych w drodze wędrowców.

Okolice Wołoszczyzny i Podola posiadają bardzo wiele podobnych mogił czyli grobowców z ziemi. Jedna z najpiękniejszych jakie widziałem, leży na płaszczyznie po tamtej stronie Jassów, i ma wysokości około 20 sążni, z odpowiednim temu obwodem w szerz. Drugą, jeszcze wspanialszą, jest właśnie ów wzgórek śród moczarów, na którym leży zamek oleski, mający do czterdziestu sążni wysokości. Grzbiet tej mogiły jest płaski i bardzo szeroki. Zajmują go całkowicie mury zamku, który zdala wydaje się małą twierdzą. Cały budynek wystawiony jest mocno z cegły i kamienia, i wznosi się do znacznej wysokości. Nie ma jednakże ani wież, ani skrzydeł, ani foss, ani innych warowni, bo zajmując cały grzbiet wzgórza, wygląda niejako jak grzebień skały. Nie może zresztą obawiać się zaskoczenia od nieprzyjacioł, bo góra jest wysoka i dość stroma, a do tego otoczona ogromnym okopem i parapetami z tarcic.

Brama zamku otwiera się ku stronie północnej, zkąd przedstawia się widok największego w Polsce bagniska. Jakby jedna szeroka fossa, ciągnąca się wokoło miasteczka, gubi się ono pomiędzy wspomnionem powyżej pasmem górzystem a szeregiem mniejszych pagórków, upstrzonych wszędzie bujną i uro-

zmaiconą roślinnością, z mnóstwem rozrzuconych tnowdzie sioł.

Równie jak niewiadomo stanowczo, zkąd właściwie wzięło się owo wzgórze wśród błotnistej płaszczyzny, tak też wątpliwe są domniemywania o początku samegoż bagna. Utrzymują niektórzy, iż dawniej był w tem miejscu ogromny staw; nikt jednakże nie umie powiedzieć, którędy upłynęła woda.

Wnętrze zamku nie odznacza się symetryą budowy. Dziedziniec jest nazbyt szczupły. Komnaty zamkowe ciągną się bez porządku, lecz wszystkie są piękne, szerokie, wysokie, wykładane marmurem w wielkich taflach. Pod wspaniałemi sklepieniami znajduje się na dole szereg lamusów. Niesłychana głębokość studni wprowadza w zadumienie; bo też musiano przekopać na wylot całą górę, zanim dobrano się do wody. Zresztą wszystko tu znamionuje starożytną siedzibę wielkiego pana, która oczywiście nie mogła obejść się bez kaplicy, ozdobionej malowidłami *al fresco*. Przy tem wszystkiem jestto na pierwszy rzut oka bardzo smutne mieszkanie, pozbawione wszelkich otwartych miejsc do przechadzki i zabawy. Zdaje się, że mieszkaniec tutejszy musi stać ciagle wyprężonym, jakby żołnierz na straży lub jak niegdyś ś. Szymon na swoim słupie.

Królowa zrestaurowała i upiększyła Olesko, ile było w jej mocy. U stóp okopu, nad brzegiem jeziora, przybyło kilka nowych drewnianych budynków, mianowicie stajen i wozowni, a ogród zamku, po którym zaledwie ślad pozostał, przywrócono do dawnego stanu. (D. c. n.)

Człowiek z humorem. Zastanowiwszy się dobrze, widzimy, iż życie nasze jest właściwie ciągłem równoważeniem się smutku a wesołości. I częstokroć nawet smutek okaże się wesołym a wesołość nierzadko smutna, jeśli jakieś bystre oko zapatrzy się na rzeczy, i z lada drobnostki potrafi wydobyć humor, tę najpiękniejszą okrasę życia. Dobry humor nie da się niczem zwyciężyć. Niech go najsroźej prześladują losy, on przecie przy lada sposobności patrzy śmiało w oczy nieszczęściu i z najtrudniejszego drwi położenia. Dostatecznie nie da się humor nigdy opisać, bo przy swojej wytrwałości miewa on dziwnie rozmaite postacie. Najczęściej jestto tylko dowcip, który zespolony z dobrodusznością, pokrzepia na umyśle, łagodzi lub zupełnie oddala nieprzyjemności, karci głupotę i nieprawość. Tylko własnem doświadczeniem można go bliżej poznać, do czego posłużyć mogą następujace uwagi. Jeśli kto np. po kilkugodzinnej rozmowie o snach, które się poźniej sprawdziły, zechce zapobiedz nudom, i rzeknie: „Mnie śniło się pewnego razu, iż zastrzeliłem się przez nieostrożność, a nazajutrz rano znalazłem się rzeczywiście nieżywym w łóżku" — tedy jestto rodzaj humoru, lubo niezbyt głęboki. Pewien młody malarz stawiony był przed sąd za nieprawne obejście się z jakimś lichwiarzem. Aby go choć w części uwolnić od kary, radził mu obrońca oświadczyć, iż dopuścił się tego wykroczenia w napadzie choroby, która ge częstokroć pozbawia przytomności; lecz malarz odpowiedział ze śmiechem: „Lubo drogą niesłuszną, zrobiłem przecież słusznie. Co zaś do choroby, znajdowałem się wtedy i znajduję się teraz w tak dobrym stanie, że możnaby mię powiesić bez szkody dla mego zdrowia. Usłyszawszy wyrok, poszedł z równym humorem do więzienia, z jakim wyszedł poźniej na wolność. — Pewna ładna ale nieco niesforna żona, chciała koniecznie rozwieść się z mężem, a jako najgłówniejszy powód niezadowolenia z małżeństwa zawartego przytaczała ograniczoność męża. Przed ostateczną prośbą o rozwód, udali się oboje małżonkowie do pewnego przyjaciela, któremu poruczyli niejako rozsądzenie swoich obopólnych zażaleń. Ten starał się ich pogodzić, lecz uparta żona nie odstępowała od rozwodu. Ozwał się wtedy do niej przyjaciel: „Kochana pani! Sędzia zapyta cię zaraz: Czy głupotę twego męża z tego tylko poznałaś, że się z tobą ożenił? W takim razie przyczyna twoja byłaby wprawdzie nieszczęściem dla twego męża, ale nie dość ważnym powodem do rozwodu dla ciebie. Musiałby sędzia spytać tedy twojego męża, czy zezwala na rozwód? Jeśli odpowie „tak", tedy okaże zaprawdę, iż ma rozum, a temsamem twoja skarga traci wszelką podstawę. Jeśli odpowie „nie", tedy i w takim razie nic nie wskórasz, bo do rozwodu potrzeba dobrowolnego przyzwolenia obudwóch stron." Na to wyborne przedstawienie mąż parsknął śmiechem, a żona poszła po chwili za jego przykładem. Humor rozjemcy przyniosł owoc pożądany. Oboje małżonkowie podali sobie ręce, i do śmierci nie pomyśleli już o rozwodzie.

Heliografia (fotografia) zagrożona jest srogą klęską, a piorun wstępuje w spółzawodnictwo z słońcem. Badacz przyrody w Hawannie *Poey* spostrzegł lata zeszłego, iż piorun uderzywszy pewnego razu w drzewo palmowe, odbił na zeschłych liściach drzewa nadzwyczajnie wyraźny obraz sosen, stojących w oddaleniu 339 stóp. Według zapewnienia p. *Poey* przewyższa takie odbicie za pomocą światła elektrycznego wszystkie znane dotychczas rezultaty. Jedyną trudnością nowej metody byłoby zmuszenie pioruna do odegrania w każdym razie takiejże właśnie roli, jakiej wymaga potrzeba chwili.

Starodawna facecya starodawnym językiem. Dobremu człowiekowi żona utonęła, a on najął kilku chłopów z osękami, i kazał jej szukać przeciw wodzie. Gdy ludzie mówili, aby na dół szukał, a nie wzgórę, bo przeciw wodzie płynąć nie mogła, rzecze: Wiem ja owej żony obyczaj i upor, że ona jeszcze żywą będąc, z żadnym człowiekiem się nie zgodziła, to ja rozumiem że i teraz przeciw wodzie płynęła. Tak Menander napisał: Niewiasta, ogień i morze — Zawsze chodzą w jednej sforze.

Pewien poeta odczytawszy jednemu z przyjaciol niektóre ustępy z przydłuższego poematu, zapytał go które miejsca najlepiej mu się podobały. „Te, których nie czytałeś" — odpowiedział złośliwy przyjaciel.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*